Nr. 10. We Lwowie dnia 5. marca 1894. Rok II.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.



Z pamiątek rodzinnych.

Improwizacja Wincentego Pola.

Biedna sieroto tej ziemi Krakowskiej,
Bardzo mi miły Jędrzeju Grabowski —
I cóż ci powiem? — Ha, możnaby wiele,
Lecz i młyn miele i wiek pusty miele,
A z tego mliwa, — ni mąki, ni chleba,
Więc coś inaczej począć by potrzeba —
Otóż Cię spytam, co nas obu łączy?
Ty je zaczynasz, mnie — się życie kończy:
Otóż mi powiedz, czemu w tym pstrym tłumie,
Ty mnie rozumiesz, ja Ciebie rozumię?
Więc coś wspólnego Bóg w tych duszach złożył,
Ku jednej zorzy obie je otworzył,
Choć Ty lekkoduch mowny i nadobny,
A ja milczący i w sercu żałobny.
Żem ja to przeżył, co było potrzeba,
A Tyś szczęśliwie zajrzał gdzieś do nieba,
To się mój Grabciu zdarza tylko z rzadka —
Mnie Bóg ratował, a Ciebie Twa matka,
Otóż po matce, trafisz i do Boga,
Choć bałamutna będzie jeszcze droga,
Choć nieraz będziesz z tej drogi nakładał,
Dźwigał się duchem i w niemocy padał —
Ja jako starszy, taką radę daję:
Gdy czarna chwila dla duszy nastaje,
To siądź i czekaj — i trzymaj się karno,
Bo trzeba przetrwać taką chwilę czarną.
Ona przeminie, jak w spokoju siędziesz
I z widmą serca w bój chodzić nie będziesz.
To i odzyskasz znowu serca tkliwość,
I dzielność ducha i myśli swej żywość,
I powiesz sobie: »Rzecz ledwo do wiary,
Dobrze mi mówił, dobrze niegdyś stary,
Gdyśmy do Żółkwi tłukli się na wózku!...
I będziesz trzymał serce na powrózku,
Aż duch urośnie i z sercem się zgodzi,
I ciężki żywot malarza osłodzi,
I staniesz znowu po raz wtóry silny —
Sam z sobą w zgodzie na drodze niemylnej,
I pojmiesz wówczas, com ja w sercu chował,
Gdym to dyktował — a Tyś nie malował...

Wierszyk Pola nosi datę r. 1866. Wygłosił go poeta podczas odbytej wspólnie z malarzem Grabowskim wycieczki ze Lwowa do Żółkwi, a spisał, stanąwszy u celu podróży.



JAN KASPROWICZ

ALFRED TENNYSON.

SZKIC LITERACKI.

I.


W »Lotofagach«, jednym z piękniejszych utworów zmarłego w 1892 roku poety-laureata, znajduje się następujący ustęp:

»Śmierć jest końcem żywota, a czyż ma być jego udziałem tylko trud? Dajcie nam spokój. Czas sam wypędzi nas ztąd niezadługo; jeszcze chwila, a zamilkną na zawsze wargi nasze — Dajcie nam spokój! Cóż tutaj pozostanie? Wszystko, co mamy, będzie nam wydarte, wszystko to zamieni się w przeszłość, skreśloną na piasku. Dajcie nam spokój. Ktoż może doznawać rozkoszy w walce ze złem? Czyż to nie jest męką wciąż się rozbijać po rozbijających się falach? Wszystko, co jest, żyje w spokoju i dojrzewa w owoc, przeznaczony dla grobu — dojrzewa, pada i już go nie ma. Dajcie nam spokój długi, albo śmierć, ciemną śmierć, albo w marzenia otulony spoczynek«.

Jakkolwiek Tennyson nie należał do rzędu pisarzy, u których żywioł subjektywny tak dominujące przybiera kształty, że można ich dzieła uważać za odbicie ich »ja«, to przecież śmiało powiedzieć można, że w przytoczonych powyżej słowach mieści się najlepsza charakterystyka długich dni jego żywota.

Poezja jego wielkich, bezpośrednich poprzedników, jak: Byron, Shelley i Tomasz Moore, posiada tę specjalną cechę, że jest — poezją walki, wytaczanej zarówno ciemięzycielstwu politycznemu, jak ekonomicznemu i religijnemu. U Alfreda Tennysona ma się rzecz nieco odmienniej. Nie można zaprzeczyć, że kanwa utworów jego składa się z idej, wypełniających poezję tamtych, ale ideje te zostały na artystycznym warsztacie sztukmistrza z wyspy Wight tak ociosane, oheblowane i wypolerowane, że tylko w bardzo ogólnych konturach przypominają swoje pierwowzory. Wyraz, jaki ideje te znalazły w poezji Tennysonowskiej, stoi do nich w takim stosunku, jak np. jakaś mała, porcelanowa kopia »Mojżesza« Michała Anioła do przygniatającego urokiem olbrzymiej potęgi oryginału.

To, co w lutni tamtych jest silnem, co porywa i szarpie, wychodzi z pod palców Tennysona w tonach łechtliwych, słodkawych, harmonijnych wprawdzie, ale ubezwładniających i usypiających. Jest to muzyka, która — że użyję tutaj jego własnych obrazów — »drży stokroć łagodniej, aniżeli trawa, gdy nań upadnie listek róży, lub niż rosa wieczorna, kiedy na ciche spłynie wody, oblewające granitowe, cieniste wybrzeża, jest to muzyka, obejmująca ducha w miększe uściski, aniżeli zmęczona powieka, gdy na zmęczonem spocznie oku; muzyka, która w cieniu błogim do słodkiego, niebiańskiego snu nas kołysze«.

Ażeby jednak znaleść rozkosz w zasypianiu pod jej wpływem, trzeba mieć na prawdę — mówię znowu jego słowami — »chłodny, miękki mech pod sobą, poprzetykany zwojami miększych jeszcze bluszczów«, to znaczy trzeba mieć życie wygodne, nie zaprawione troskami, trzeba być człowiekiem, wyrzekającym się z góry »wszelkiej walki ze złem«, a mogącym, dzięki korzystnym warunkom zewnętrznym, szukać jedynie delikatnego podrażnienia nerwów, wrażeń jedynie estetycznych.

Jeżeli poezja nie ma być niczem więcej, jak tylko kunsztowną igraszką rytmów i rymów, jeżeli ma być melodją, mile łechtającą ucho podczas popołudniowej siesty; jeżeli ma być szeregiem poustawianych obok siebie, wdzięcznie wycyzelowanych figurek z kości słoniowej, o spojrzeniu sentymentalnem, tu owdzie pomalowanych na blado różowo; jeżeli ma być wreszcie zbiorem melancholijnych krajobrazów, to poezja Tennysona powinnaby w literaturze powszechnej pierwsze zajmować miejsce.

Gdy jednak do poezji właściwą przyłożymy miarę, gdy w wierszach i strofach, w dźwiękach i obrazach, estetyczną sprawiających przyjemność, szukać zechcemy śladu rozkoszy i cierpień poety lub jego otoczenia, gdy zapragniemy dopatrzyć się w nich odbicia walk, pragnień i dążeń zarówno tworzącej jednostki jak i społeczeństwa, z którego owa jednostka wyszła lub śród którego żyje, wówczas poezji Tennysona będziemy musieli przyznać jeden ze szczebli poślednieiszych.

Nie zbałamuci nas wówczas ani sąd chłodno moralizującego Carlyle'a, który przyjaciela swego stawił ponad Byrona i Shelley'a, ani też zdanie radykalnego socjalisty Morrisa, który w emfatycznej odzie oświadczył wszemwobec, że nie powstanie już wieszcz, godny zająć królewski tron Tennysona, godny skronie swoje otoczyć jego wieńcem laurowym.

Zresztą sądowi temu dziwić się zbytecznie nie można: po burzy, jaką wszczął genjusz Byrona i Shelleya, pożądano spokoju; po ekscytacji

nastąpiła depresja — prawo fizjologiczne, objawiające się w tym samym stopniu i w dziedzinie ducha. A że typowym wyrazem tej naturalnej depresji był właśnie Tennyson, dla tego też postawiono go na piedestale pierwszego poety, zwłaszcza, że depresja ta stanęła przed oczy angielskiemu społeczeństwu kupców w formie nader powabnej: w postaci melancholijnej niewiasty, otoczonej kłębami niebieskawego dymu, wydobywającego się z ambry wonnej; w postaci niewiasty, napół uśpionej bajadery czy służebnicy Melitty, oblanej złotymi blaskami słońca, które w dymie tym najróżnorodniejszymi mieniły się kolorami, pozbawionymi wskutek zatapiania się w jego falach wszelkiej rażącej oko jaskrawości. Depresja ta objawiła się w postaci niewiasty, przystrojonej w wieńce, festony i girlandy z najwyszukańszych kwiatów egzotycznych, a wydobywała z arfy, wysadzanej szafirami, turkusami, agatami, rubinami, perłami — i jakie tam jeszcze są kamienie drogie — dźwięki również nie rażące, ale które były niby echem pieśni, zagranych ongi przed Tennysonem przez Homera i Teokryta, przez poetów arabskich, przez średniowiecznych minstrelów, przez Chancerów i Spenserów, przez Wordsworthów, Southey'ów i Coleridgów, a nawet, jak to powiedziano na początku, przez Moorów, Byronów i Shelley'ów.

Witano ten symbol rozpieszczonego spokoju, mający za tło i pagody indyjskie i greckie świątynie, kościoły o strzelistych wieżach gotyckich i koronkowe maurytańskie alhambry i renesansowe pałace i gmachy, wzniesione w stylu barokowym — bo i tego nie brakło u Tennysona, lubującego się w architekturze wszystkich czasów — witano więc ten symbol z pożądliwością gurmandów, którzy, karmieni dotychczas silnym bifsztykiem, widzą naraz przed sobą lekkostrawną ostrygę, podaną w złotem, artystycznie wyrobionem naczyniu.

Kupcy, załatwiwszy sumę interesów, oddających im świat w posiadanie, potrzebują wypoczynku, a że są ludźmi ucywilizowanymi, że w podróżach po kuli ziemskiej nauczyli się inne jeszcze mieć potrzeby, aniżeli jedzenie i picie, przeto poezja, nie wyrywająca ich z lekkiej drzemki, będąca tego wypoczynku okrasą, sprowadzająca sny urocze, musiała im być pożądaną.

A prowadziła ich poezja Tennysona »w kraj, w którym, zdawało się, wieczysty panuje wieczór; w którym lubieżne wiatry powiewały z tej i z owej strony, podobne do oddechu, jaki wydobywamy ze siebie podczas ciężkiego snu. Ponad dolinami błyszczała w kraju tym pełnia miesiąca, a jak dym, zwracający kłęby swoje ku ziemi, spływał powoli ze szczytu góry, leniwo pełzający strumień«.

W kraju tym stanęli przepłynąwszy morze, zjadacze lotosu i usiedli na piasku żółtym, pomiędzy słońcem a księżycem, co błyszczał górą ponad falami morskiemi. Słodko było im marzyć o opuszczonej ojczyźnie, o żonach dzieciach, i niewolnikach; atoli morze wydało im się jak gdyby zmęczone i pełne snu ciężkiego, zmęczone wydały im się i brzegi, okryte pianą i dymu kłębami. I rzekł z nich jeden: »Do domu już nie powrócimy!« I wszyscy za nim śpiewać poczęli: »Nasze łany ojczyste daleko są po za morzem — tutaj pobudujmy sobie nowe chaty!«

I pozostali i rozpoczęli chór, mieszczący w sobie całą filozofję wygodnictwa, która każe człowiekowi watę kłaść w uszy, ażeby nie słyszał, jak naokoło niego rozbrzmiewają hasła bojowe; rodzaj epikureizmu, który opiatową przyjemność cichego spożywania lotosu stawia po nad rozkosz, doznawaną przez umysły głębsze i serca szlachetniejsze w spełnianiu wielkich obowiązków, jakie na nich nakłada życie. Zjadacze lotosu marzą wprawdzie o ojczyźnie, marzą o żonach i dzieciach, ale marzenie to rozwiewa się niebawem w mgłę — ojczyzna, żona i dzieci idą w zapomnienie, ponieważ są daleko, oddzieleni falami szerokiego morza. W ziemi nowej, w kraju lotosów, budują sobie przybysze nowe chaty i przysięgają, że jak bogowie, spoczywać będą na aksamitowem mchów posłaniu, nie troszcząc się wcale o to, co inni czynią ludzie. Na wszystko to, co stanowi troskę innych, na widok łanów zniszczonych, na dżumę, głód, na trzęsienia ziemi, na szalejące orkany, na pożogę miast, na topienie się okrętów, na rękę, wzywającą pomocy, nie mają zjadacze lotosu nic więcej, prócz obojętnego uśmiechu. Łechtliwą rozkosz sprawiają im jęki ludu biednego, harującego bez końca, tego ludu, który orze i sieje, który śród trudów znosi do stodół krwawe sprzęty, który mało zbiera oliwy i mało gron winnych, który, urodziwszy się w nędzy, umiera w nędzy — na widok wszystkich nieszczęśliwych i upośledzonych mają tylko jedną odpowiedź: »Sen jest słodszy, aniżeli walka z żywiołami, aniżeli mocowanie się z falą i wiatrem. — Bracia! towarzysze! — wołają w końcu — »spocznijmy tutaj i w dalszą nie udawajmy się podróż«.

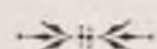
»Bo i po cóż wracać?« — pytają znowu, filozofując bez końca — »kochamy pamięć naszych ślubów małżeńskich, miłym był ostatni pocałunek i ostatni płacz naszych żon — ale cóż my wiemy, co się tam dzisiaj dzieje? Wygasły zapewne nasze ogniska; dzieci nasze zagarnęły zapewne nasze bogactwa, uważano by nas za obcych, gdybyśmy powrócili... To, co się raz złamało, niech pozostanie złamanem! Trudno przejednać bogów, trudno zaprowadzić znowu porządek w domu ojczystym. Trzebaby tam walki, straszniejszej, aniżeli śmierć; zamieszanie, cierpienia, kłopoty, których nie udźwignęłyby posiwiałe głowy nasze, smutne losy dla serc, które mają dosyć już walki — oto co nas czeka, jeżeli do ziemi powrócimy ojczystej...«

Zresztą — tak z rafinerją filozoficznie usposobionych leniwców, konkludują zjadacze lotosu — »wszystko ma swój spokój, dla czegoż my tylko mamy się trudzić i bojować? Nie ma różnicy pomiędzy nami a pomiędzy liściem, który rozwija się, karmiony rosą i blaskiem słonecznym, a który, gdy północne zawieją wiatry, pada na ziemię zwiędły i ginie; nie ma różnicy pomiędzy nami, a soczystem jabłkiem, które, gdy pod działaniem słońca przejrzeje, padą w cichej nocy na ziemię i ginie; nie ma różnicy pomiędzy nami a kwiatem, który kwitnie na łąkach cienistych, żadnej nie znając troski, a potem, gdy jego czas nastanie, dojrzewa, więdnieje i ginie. Po cóż więc my, których taki sam los czeka, mamy się męczyć, po cóż mamy walczyć, gdy i tak nam umrzeć trzeba«.



KARTKI NAUKOWE.

Co się dzieje na planetach Wenerze i Jowiszu? — Jak powstało życie na kuli ziemskiej? — Teorja Thomsona i Preyera, teorja samorództwa.



Jeżeli po zachodzie słońca, spojrzymy na niebo, to zobaczymy natychmiast dwie gwiazdy, które od pewnego czasu zwracają na siebie uwagę wspaniałym swym blaskiem. Na południowschodzie jaśnieje piękna Wenus, gwiazda Pasterza, z pomiędzy planet obdarzona najsilniejszym blaskiem i dlatego najpierw odkrytą została. Blask jej dojrzeć można za pomocą lunety nawet przy świetle słonecznem.

Druga gwiazda świeci na południo-zachodzie, a później na południu. Swiatło jej posiada mniej blasku, jest więcej spokojne. Jestto Jowisz, największa planeta w naszym systemie słonecznym.

Piękne te gwiazdy wzrok nasz ku sobie pociągają, a myśl nasza, wzbijając się po nad poziomy, dociera aż do owych błyszczących punktów na ciemnym szafirze nieba; z pewną tęsknotą i niepokojem zapytujemy siebie: co się dzieje na tych gwiazdach? Czy istnieją tam jakie istoty żyjące? Czy przyroda podobną jest do naszej?... Na wiele podobnych pytań nowoczesna astronomja dostarcza nam odpowiedzi. Posłuchajmy, co mówi nam o pięknej Wenus i potężnym Jowiszu.

Owe gwiazdy nie są bynajmniej tak świecące, jakiemi wydają się nam mieszkańcom ziemi. Są to dwa światy, podobne do naszego. Zawieszone w przestrzeni tak jak nasza ziemia, wiecznie krążą one dokoła słońca, które pociąga je ku sobie; nie posiadają zaś wcale własnego światła, a blask ich pochodzi od światła słonecznego. odbijającego się od ich powierzchni. Między Wenerą i Jowiszem zachodzi atoli olbrzymia różnica.

Wenera pod względem rozmiarów, gęstości masy, wielkości średnicy oraz wagi, ma wiele podobieństwa z naszą ziemią. Wszystko to dokładnie zbadano i obliczono. Wiemy także, że Wenerę otacza atmosfera wyższa i gęściejsza od naszej, że prawie bezustannie planetę okrywają chmury oślepiającej białości. Właśnie te chmury oraz blizkość Wenery do słońca, są przyczyną jej wspaniałego blasku, gdyż chmury odbijają światło słoneczne. Wenera jest tak ciemna jak ziemia, a świeci blaskiem zapożyczonym od słońca. Badajmy Wenerę przez lunetę, a zobaczymy, że miewa ona takie same fazy, jak nasz księżyc. Zresztą i nasza ziemia z daleka wygląda jak błyszcząca gwiazda; być może mieszkańcy innej jakiej planety tak zachwycają się blaskiem Ziemi, jak my zachwycamy się blaskiem Wenery.

Największa różnica między Wenerą i Ziemią, pochodzi z ich odmiennej odległości od słońca oraz długości ich roku.

Nasza planeta krąży koło słońca na odległości 149 miljonów kilometrów i drogę tę odbywa w ciągu 365 dni; siostrzyca jej Wenera znajduje się bliżej słońca, od którego dzieli ją tylko 108 miljonów kilometrów, a rok na niej trwa 224 dni, czyli siedm i pół miesięcy. Wenera otrzymuje od słońca prawie dwa razy więcej ciepła niż ziemia; nie wiadomo jednak dokładnie, jak długi bywa dzień i noc na Wenerze, oraz jaka różnica zachodzi między porami wieku. Być może obserwacje astronomiczne w ciągu obecnego pojawienia się Wenery, wyjaśnią te wątpliwe punkty. Niezależnie od rzeczonych wątpliwości, ten świat sąsiedni, po księżycu najbliższy dla nas, możemy uważać jako mało różniący się od naszego, tak iż logicznie przypuścić możemy, iż jest on zamieszkały przez istoty ludzkie, podobne do nas, myślące, czujące, rozumne; może rozumniejsze i lepsze, a zatem sprawiedliwsze; być może wyprzedziły one nas w cywilizacji, a przynajmniej stworzyły cywilizację, dającą szczęście większej liczbie ludzi, niż na naszym świecie? O tem astronomja nic nam nie mówi.

Z Jowiszem inaczej stoi sprawa. Olbrzymia ta bryła pod każdym względem różni się od naszej ziemi. Jest ona o 1.280 razy większa od naszej kuli, a jej średnica jedenaście razy jest szersza od średnicy ziemi. Jowisz jest pięć razy więcej oddalony od słońca, niż ziemia i dlatego ilość światła i ciepła, którą otrzymuje od słońca, jest dwadzieścia pięć razy mniejsza niż u nas. Powierzchnia jego badana przez teleskop naprowadza na domysł, iż niema tam jeszcze stałych lądów; atmosferą Jowisza wstrząsają wciąż gwałtowne burze i potężne prądy, a gęsta para okrywa całe prawie ciała olbrzymiej planety. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, owa planeta znajduje się dopiero w pierwotnej fazie swego kształtowania się; powierzchnia jej mocno jest rozgrzana i można przypuścić, iż Jowisz nie po-

siada warunków, sprzyjających powstaniu życia; nie jest on jeszcze zamieszkały. Astronomiczne zjawiska, widzialne na Jowiszu przez teleskop, utwierdzają w przypuszczeniu, iż jest on zgasłem słońcem, lecz nie zupełnie jeszcze ostygłem; przechodzi on obecnie przez takie fazy, przez które ziemia nasza przechodziła w niezmiernie odległych epokach. Jowisz nie jest samotny; wiruje koło niego pięć kul mniejszych, są to jego księżyce, z których piąty odkryty został w zeszłym roku.

Tak więc owa gwiazda, jaśniejąca na południo-wschodzie jest olbrzymim światem w fazie powstawania; na powierzchni jego wiruje wciąż prąd równikowy, pędzący z siłą 400 kilometrów na godzinę; wstrząsają nim burze i huragany, o jakich my nie mamy nawet wyobrażenia. Świat ten przygotowuje grunt dla przyszłych zarodków życia. Jowisz przedstawia fazę, w której znajdować się będzie w przyszłości nasze słońce. Nastąpią niechybnie czasy, gdy ziemia nasza stanie się martwą i pustą; zniknie cała jej krasa i historja wraz z ludzkością, nie zostawiwszy ani śladu. I kiedy martwa ta bryła krążyć będzie dokoła słońca, być może młodszy od niej Jowisz będzie już wówczas okryty wspaniałą roślinnością, ożywiony mnóstwem zwierząt, zamieszkały przez jakieś istoty rozumne i doskonałe.

Jakim sposobem powstanie życie na tej ogromnej kuli? Zkąd powstało życie na naszej ziemi? Oto zagadka wiecznie zaciekawiająca umysł ludzki. Geologja dostarcza nam wielu dowodów, że i na ziemi panowała niegdyś tak wysoka temperatura, że woda powstać nie mogła a zatem, nie było również żyjących istot. Są to czasy, znane w geologji a z o i c z n e m i. Lecz była niewątpliwie chwila, w której pojawiła się na ziemi pierwsza kropla wody, oraz była epoka, w której urodziły się pierwsze organizmy. Wnioski astronomów, astrofizyków, geologów i paleontologów mówią nam, że życie na kuli ziemskiej miało niegdyś swój początek. Jak powstały pierwsze organizmy na ziemi? Pytanie to przesunęło się przez umysł każdego niemal myślącego człowieka. Czy mamy wierzyć teorji Thomsona, mówiącej nam, że pierwsze zarodki życia spadły na ziemię z innych światów nadziemskich? że zostały przyniesione przez aerolity i pył kosmiczny, które spadają na naszą ziemię? Teorja ta posiada mało prawdopodobieństwa.

Preyer, głośny uczony niemiecki, woli przypuszczać, że życie na ziemi nie miało początku, że jest ono wieczne, a mineralna materja powstała w późniejszych czasach z żywej materji. W epoce, gdy ziemia była rozpaloną, oczywiście nie mogły istnieć organizmy podobne do teraźniejszych. To też Preyer, dając folgę swej fantazji, przypuszcza, iż w owej epoce organizmy były zbudowane z innych substancyj, niż obecne: »były to organizmy olbrzymie, ogniste, oddech ich był zapewne rozpaloną parą żelaza, krew roztopionym metalem, a meteory służyły im za pokarm«. Metale, granity i bazalty, znajdujące się obecnie w łonie ziemi, Preyer bierze za szczątki owych pierwotnych organizmów.

Jestto hypoteza nader śmiała i oryginalna, lecz nie zadawalnia ona innych uczonych; większość których przyjmuje teorję, że żyjące obecnie istoty powstały z mineralnej materji, czyli drogą s a m o r ó d z t w a. Według tej teorji stworzenie świata żyjącego trwało nie przez sześć dni, lecz niezliczoną ilość miljonów lat. Atoli jutrzenka życia nie objawiła się takiem bogactwem form, jakie obecnie widzimy na ziemi. Początki życia były skromne i ciche. Mineralna materja, kształcąc się przez miljony lat, pod wpływem ciepła, światła, ciśnienia, elektryczności i być może innych, nieznanych nam warunków fizycznych, utworzyła chemiczne związki organiczne, podobnie jak nasi uczeni fabrykują obecnie takież związki chemiczne w laboratorjach. Upłynął jeszcze szereg wieków, a owe związki chemiczne, wciąż doskonaląc się, wytworzyły w końcu białkową materję, która jest podstawą wszystkich żyjących istot. Białko pierwotne powstało w postaci maluczkich kropelek, które zaczęły się ruszać, przyjmować pokarm i dzieląc się na części, wydawać potomstwo. Z owych kropelek białka czyli protoplazmy powstały stopniowo wszystkie istniejące obecnie organizmy, kształcąc się przez niezliczone szeregi stuleci. Gdy pierwsze zarodki życia powstały, reszty dokonała już ewolucja.

Że mineralna materja łatwo może przejść w stan żywej materji, jesteśmy codziennie świadkami tego cudu: małe ziarnko roślinne, wrzucone do ziemi, wyrasta jako wspaniałe drzewo, piękny kwiat, soczysty owoc, a przecież żywe ciało roślin powstało z mineralnych płodów, zaczerpniętych z powietrza i ziemi.

Hypoteza, że z pierwotnych kropelek protoplazmy powstały z biegiem czasu tak różnorodne organizmy, nie zawiera w sobie nielogiczności. Czyż nie widzimy bowiem za naszych czasów, że najdoskonalsze nawet istoty żyjące rozpoczynają swoje istnienie od zarodka, od jajka, które jest niczem więcej jak kropelką protoplazmy. Wszystkie najwyższe zwierzęta i ludzie pochodzenie swe wyprowadzają od jajka; a ta maluczka kropelka protoplazmy, często niewidzialna gołem okiem, rozwijając się przez kilka tygodni lub miesięcy wytworzy krew, kości, mięśnie i nawet mózg ludzki. I niema tu żadnego wyjątku od tej ogólnej zasady: najwięksi genjusze, najwyższe umysły ludzkości musiały rozpocząć swój byt od jajka.

Dr. M Stefanowska.



AWANTURA.

(Fragment z pamiętników rządzcy domu.)

Przez

Klemensa Junoszę.



(Dokończenie).

Widzę, że coś oglądają, nad czemś radzą; rozpycham zbiegowisko łokciami, aby się dostać do środka.

— Pan rządzca! woła stróż — ustąpcie, pan rządzca!

— Cóż to?

— A, panie, okropność!

— Takie biedactwo!

— A ładne, bardzo ładne.

— Taką szelmę, tobym zaraz zabiła! — krzyczy stróżka.

— Pasy drzeć!

— Bić, a duchu słuchać!

— Ale cóż to jest?..

— A no... wzięła i podrzuciła, a teraz rób, co chcesz...

— Więc dziecko?

— A juści, dziecko nam podrzucili — rzekł stróż.

— Kiedyż to się stało?

— Dopiero co.

— A ty gdzie byłeś wtenczas? — zapytałem groźnie.

— W bramie byłem.

— I nie widziałeś nic?

— Co miałem widzieć!

— Boś spał pewnie...

— Jak mi Bóg miły: patrzyłem, pilnowałem... ktoby usnął na takie zimno: człek oto, chociaż i w kożuchu, kostnieje.

— Więc opowiedz, jak było. Kto dziecko znalazł?

— A toć ja; siedziałem sobie w bramie spokojnie, różni ludzie chodzili, bo i do bawarji inszy się wstydzi frontem i na piętrze goście tańcują i u pani maglarki zabawa. Naród chodzi, a trudno każdemu w oczy zaglądać... pilnuje się tylko, czy kto czego nie wynosi z domu...

— No, mów prędzej.

— I tak oto siedzę, aż widzi mi się, że coś piszczy: kociak nie kociak, że zaś tu kocisków nie brak i precz latają po schodach, chciałem przepłoszyć... Wstaję, idę, na drugim czy na trzecim schodzie koszyk, a w koszyku coś piszczy... podnoszę przykrycie, zaglądam... dzieciak! Ola Boga! myślę sobie, będzie bieda... Zaraz niewiadomo zkąd, kobietów się naschodziło, a ja duchem do pana rządzcego!

— I nie widziałeś, kto podrzucił?...

— Żebym był ja widział!

— To coby Wawrzyniec zrobił? — zapytała jakaś kucharka.

— Ale coby Wawrzyniec zrobił! co? Możeby ją Wawrzyniec aresztował?

— Ot! dałbym jej po karku i powiedziałbym: podrzucaj, gdzie chcesz, aby nie w naszym domu... Zawdy z temi babami termedyja tylko...

— A wy zkąd wiecie, że to baba?

— Mężczyzny są porządne, nie podrzucają dzieciaków po schodach.

— O wszyscy wy porządne — przekomarzała się kucharka.

Tymczasem kobiety zaczęły szperać w koszyku.

— O! jest jakaś karteczka! — zawołała jedna.

Wziąłem tę kartkę, było na niej napisane dużemi, niezgrabnemi literami: »Chłopczyk, chrzczony imieniem Jan, prosi dobrych ludzi o miłosierdzie i opiekę«.

— Takie maleństwo!

— Sierotka!

— Ale cóż z nim zrobimy?

— Odesłać do cyrkułu i po wszystkiem — doradzał jakiś podchmielony gość z bawarji — tam będą wiedzieli, co z nim zrobić.

— Może go tam stójkowi będą karmili? — zawołała jakaś czupurna Agata — jaki z pana mądrala...

— Panna niech nie wydziwia i niech się nie stawia, bo jak powiem, że panna dwóch strażaków karmi, to będzie wstyd.

— A panu co do tego!

— Cicho, cicho...

— Trzeba posłać po rewirowego.

— Maglarka wystąpiła naprzód.

— Proszę pana rządzcy — rzekła — tak nie można.

— O co pani idzie?

— Co się z dzieckiem zrobi, to zrobi... ale trzymać taką odrobinę w sieni, na mrozie, nie godzi się.

— A gdzież je podzieję?!

— Choć u mnie goście są, ja to maleństwo wezmę do stancji; ogrzeję, mleka mu trochę dam...

— Bardzo dobrze. Mówi pani, jak matka — rzekła kucharka.

— Mam też i swoich dzieci, Bogu dziękować, czworo.

— A to niech pani weźmie — rzekłem — a tymczasem ja zrobię, co potrzeba.

— Po co, panie, tak się spieszyć, teraz noc, mróz okrutny, gdzie dzieciaka wozić do cyrkułu, do szpitala, przeziębi się... Ja mu dam nocleg wygodny.

Zabrała dziecko z koszykiem i pobiegła do oficyny, ja do siebie chciałem pójść i palto inne włożyć, tymczasem ktoś trącił mię w ramię.

Obejrzałem się — Matjasowa.

— Panie rządzco, proszę na chwileczkę.

Udałem się za nią. Ona usiadła na swojem zwykłem miejscu za bufetem, ja stanąłem przy niej.

— Czego pani sobie życzy? — spytałem.

— Widzi pan, to dziecko... ogromnie mi go żal.

— Cóż robić, moja pani.

— Zmarnuje się niebożątko, a takie jakieś miłe... wie pan, że ja umyśliłam sobie, żeby tę dziecinę wziąć.

— To jest, jak to pani rozumie?

— A no wziąć i wychować. Własnych dzieci nie mam.

— Potrzebny pani ten ambaras?

— I cóż za ambaras; takie maleństwo, co ono komu przeszkadza.

— Jak pani uważa — rzekłem. — Rozumie się, że u pani będzie sierocie lepiej, niż w szpitalu.

— Słuchajno, Matjas — rzekła do męża drzemiącego przy antałku — obudź się.

Stary się zerwał i zaczął toczyć piwo do kufla.

— He? — zapytał.

— Daj pokój... to nie o piwo. Wypij sam...

— Tak?

— A tak.

— Zkąd łaska?

— No, chodź tu bliżej, coś ci powiem. Mamy syna.

Matjas wielkie oczy zrobił.

— Syna? my mamy syna? jakże to my? gdzież on jest?

— U maglarki.

— Fiu, fiiu! ktoby się tego po nas mógł spodziewać, ja bo nie.

— I ja także nie; ale chociaż mogłabym ci nie mówić i swoje zrobić, zawsze jednak uważam, że jesteś mąż, więc słuchaj.

Tu opowiedziała mu o podrzuconem dziecku i o swoich zamiarach i zakończyła pytaniem:

— No jakże, będziesz ojcem?

— Będę, ale warunek.

— Jaki?

— Natoczę sobie jeszcze ze dwa kufelki, bo jestem bardzo osłabiony.

Ponieważ nazajutrz była niedziela, chciałem spać trochę dłużej, tymczasem ledwie dzień się robić zaczął, przebudziły mnie straszne krzyki. Takie piekło zrobiło się na podwórku, taka awantura, żem się zerwał na równe nogi i jak oparzony wyskoczyłem z łóżka. Zanim się zdążyłem ubrać, aby zobaczyć, co się dzieje, upłynęło kilka minut, a krzyki wzmagały się wciąż. Była to zawzięta kłótnia kobiet, a wyraźnie poznawałem w niej głosy Matjasowej i maglarki. Do oczu przyskakiwały sobie te baby.

Przedmiotem sporu był mały Jaś. Matjasowa zabrać go chciała, maglarka postanowiła zatrzymać, obie rościły sobie prawo do zastąpienia matki opuszczonemu dziecięciu.

Musiałem wdać się w tę sprawę, gdyż wybrano mnie na arbitra, ale nie przyszło mi to z łatwością. Ostatecznie maglarka, jako mająca dzieci własne, musiała ustąpić Matjasowej bezdzietnej.

Zanotowałem ten fakt w moim pamiętniku i zakończyłem go zdaniem: »Są serca w Warszawie«...



Rozbiory i sprawozdania.

Artur Gruszecki: »Tuzy«. — Powieść współczesna *).

Artur Gruszecki nie jest nowicjuszem w literaturze; pracuje w niej co najmniej od lat 16; był przez lat parę wydawcą i redaktorem »Wędrowca« i podejmował wydawnictwa popularne wielkich poetów naszych; ale »Tuzy« dopiero wykazały w nim niepowszedni talent powieściopisarski: dużo zmysłu obserwacyjnego, niemało plastyki w odtwarzaniu postaci i scen, wcale u nas nie częsty dar spójnej i konsekwentnej kompozycji, jasne rozumienie interesów, które przedstawia, zdolność do głębszego wnikania w dusze ludzkie, styl jędrny, charakterystyczny, wyraźnie i dobitnie wyrażający pomysły autora, będący w jego ręku posłusznem narzędziem. Polotu fantazji nie okazał w »Tuzach« p. Gruszecki, nie dlatego może, jakoby mu go brakło zupełnie, ale dlatego, że zanadto pozostawał pod wpływem doktryny naturalistycznej, nakazującej zbierać tylko »dokumenty ludzkie«. Mówię wyraźnie: doktryny, nie zaś powieści naturalistycznej, boć wiadomo, że to są rzeczy trochę różne. Powieściopisarze, którzy wystąpili pod sztandarem naturalizmu, bardzo odmiennie hasła teoretyczne stosowali w praktyce, stosownie do zasobów umysłu, jaki posiadali. Z esztą, gdyby i ową doktrynę rozważyć szerzej, toby się w niej znalazło miejsce na najszaleńsze nawet wyskoki wyobraźni, boć i one powstają także w duszy ludzkiej, a więc i one są dokumentami, które obserwować i odtwarzać należy. P. Gruszecki strony marzycielskiej w dziele swem nie uwzględnił i z tego bynajmniej zarzutu robić nie można. Chciał odmalować z jednej strony ludzi, którzy celem życia uczynili użycie, a z drugiej rozmaitego gatunku groszo obów, nie liczących się ani z etyką ani z idealniejszemi sprawami, byleby majątek powiększyć i módz się zaliczyć do »tuzów« powiatowych czy gubernjalnych. Zadanie to przeprowadził doskonale, zwłaszcza figu y Edwarda Wireckiego i jego siostry Klary są wybornie w całości utworu przeprowadzone. Niemiłem je t to grono, do

*) Umieszczając po raz pierwszy recenzję, napisaną przez znakomitego krytyka, dzielimy się z czytelnikami pożądaną wiadomością, iż i nadal drobne prace P. Chmielowskiego, niejednokrotnie zdobić będą karty »Tygodnia«. Oprócz artykułów, które Szanowny Autor zechce umyślnie dla »Tygodnia« napisać, umieszczać będziemy od czasu do czasu rozbiory celniejszych utworów literatury bieżącej wespół z warszawskiemi pismami, do czego uzyskaliśmy upoważnienie Autora. (*Red.*)

którego wprowadza nas autor, poziomość myśli i pożądań, rozmaicie ustopniowana podłość, sobkostwo, szachrajstwo, czy to w sferze obywateli wiejskich, plantujących buraki, czy też w cukrowni, razi nas przykro i nieraz w ciągu czytania powieści chciałoby się zrobić wyrzut autorowi, iż pozbierał same ciemne obrazy ze swego otoczenia; ale prawdzie artystycznej, konsekwencji charakterów, ich psychologji niepodobna nic ważniejszego wytknąć. Chciał p. Gruszecki złagodzić przykre wrażenie, jakie robi towarzystwo, przezeń zaprezentowane i dlatego wprowadził dodatnią kochającą się parę: Gorlińskiego i Stasię. Ale właśnie te jaśniejsze pod względem moralnym postacie, są stosunkowo słabo wykonane pod względem artystycznym i nie mogą stanowić przeciwwagi względem innych figur niesympatycznych. Niedawno jeszcze, wśród pewnego odłamu krytyki, uważało się za rzecz błahą pytanie, czy figury powieści lub dramatu zyskują współczucie, czy nie, byleby tylko były »prawdziwe«, ale dzisiaj spostrzegamy nawrót ku dawniejszej estetyce, która bynajmniej nie lekceważyła takiego pytania. Zapewne ten nawrót nie będzie całkowitym — bo nic się w dziejach nie powtarza w zupełności — ale zmodyfikuje on prąd naturalistyczny i skieruje łaczność belletrystów na dobre, równie staranne odtwarzanie czy wytwarzanie osób rozumnych i uczuciowych, jak przewrotnych, chorych nerwowo lub psychicznie. P. Gruszecki ma dosyć poczucia artystycznego i wiedzy psychologicznej, ażeby sobie w tym względzie umiał poradzić i braki swej metody twórczej dopełnić.

P. Chmielowski.



Przegląd pism.

»Kijewskaja Starina«. Miesięcznik. Rok XIII. Styczeń 1894. Kijów. Str. 212. + 30 + 15., w. 8-ki.

Pismo to jest poświęcone sprawom małoruskim, przeważnie historji i etnografji Rusi południowej. Na początku zeszytu niniejszego, znajdujemy studjum prof. M. Sumcowa o dumie ukraińskiej »Aleksy Popowicz«. P. Sumców zbija panujące dotąd mniemanie, jakoby bohater tej dumy miał coś wspólnego z rosyjskim Aloszą Popowiczem. Szuka on natomiast postaci pokrewnych w poezji ludów północy Europy (Szwedów, Norwegczyków, Duńczyków, Anglików) tudzież Serbów i Bułgarów, następnie zaś przechodzi do rozbioru pojedyńczych wątków dumy.

Ciąg dalszy pamiętników A. Sołtanowskiego, przynosi kilka ciekawych szczegółów do historji szkolnictwa i losów języka polskiego w Suwalskiem w okresie po powstaniu roku 1863.

W artykule »Andriolli i Matejko, jako autorowie rysunków i obrazów z życia małoruskiego«, p. Szugurów podaje treściwe życiorysy obu malarzy polskich, przyczem cytuje bardzo sympatyczne zdanie o nich najwybitniejszego ze współczesnych malarzy rosyjskich Riepina. Co do rysunków Andriollego, to p. Szugurów zatrzymuje się dłużej nad ilustracjami do »Marji« A. Malczeskiego i, aczkolwiek przyznaje ich autorowi wielki talent, jednakże twierdzi, że nie zdradza on znajomości życia ludowego Małej Rusi i grzeszy niedokładnością w malowaniu typów i akcesorjów małoruskich. Nic też w tem dziwnego; Andriolli nigdy nie był na Ukrainie. Wyliczywszy obrazy Matejki, Małej Rusi dotyczące, (Hołd Bohdana Chmielnickiego przed J. Kazimierzem pod Zbarażem, Hetman Zaporoża Eustachy Daszkiewicz, Bohdan Chmielnicki, Wieszczba lirnika ukraińskiego, Wernyhora itd.), autor kończy swą pracę w ten sposób: »Jako pierwszorzędny artysta i doskonały znawca dziejów Polski, Matejko tak samo jak i Andriolli, nie znał bytu małoruskiego, nie mógł go nawet znać, gdyż bywał tylko w różnych miejscowościach Galicji, na Ukrainie zaś nigdy nie był. Całkowicie pogrążony ze wszystkiemi swemi sympatjami, studjami i pracami w polskiej historji i archeologji, a odrywając się od tej roboty w celu odtworzenia czegoś innego tylko wyjątkowo albo w chwilach odpoczynku, Matejko interesował się prawdopodobnie małorusinami o tyle tylko, o ile oni brali udział w wypadkach dziejów polskich. Być może wskutek tego, występujący na obrazach i rysunkach Matejki małorusini bardzo mało przypominają nam znane, rodzime typy. Jednakowoż, aczkolwiek jego typy małoruskie nie są zupełnie dokładne, u autora ich, pomimo całej namiętności jego temperamentu, nie da się spostrzedz ani antypatyj, ani drwin względem nas; odwrotnie, i Chmielnicki i Daszkiewicz i Wernyhora na płótnach Matejki wyglądają jak bohaterowie, są wcieleniem potęgi i fizycznej i duchowej. Trudno powstrzymać się od żalu wobec faktu przedwczesnej śmierci potężnego talentu, ale, przypominając słowa poety: »nie mów z tęsknotą — i c h n i e m a, mów z wdzięcznością b y l i«, możemy powiedzieć rodakom Matejki: szczęśliwi jesteście, żeście mieli talent, który z waszej przeszłości umiał stworzyć taką cudną epopeę«.

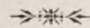
Po artykule p. Szugurowa następuje przekład pracy dra Antoniego I. (Rollego) »Kobiety na dworze Czehryńskim w drugiej połowie wieku XVII-go«, drukowanej w »Bibljotece Warszawskiej« z r. ubiegłego.

Oprócz wielkiej ilości dokumentów i drobnych notatek historycznych, tudzież kilku sprawozdań z dzieł rosyjskich jest w tym zeszycie powiastka p. B. Poznańskiego z życia ukraińców dońskich p. t. »Porok« Utwór jest pisany po rosyjsku, tylko osoby działające mówią po małorusku. Dziwna ta mieszanina, konsekwentnie prowadzona przez kilka arkuszy druku, sprawia dosyć niemiłe wrażenie.

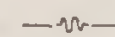
L. Wasilewski.



Z RUCHU LITERACKIEGO.

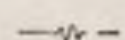


Balzer Oswald. Walka o tron krakowski w latach 1202 i 1210/11. — Kraków. Nakładem Akademji umiejętności. 1894, str. 58, ct. 60.



Reclus Elizeusz. Zjawiska ziemskie. Lądy stałe. Z upoważnienia autora przełożyła i uzupełniła Dr. M. Stefanowska. — Warszawa, 1894, str. 204, złr. 1·12.

Zdziechowski M. Byron i jego wiek. Studja porównawczo-literackie. Tom I. Europa zachodnia. (Zwiastuny bajronizmu, Byron, Shelley, Lamartine, Bajronizm francuski, Bajronizm niemiecki, Leopardi, Nirwana). Kraków, 1894, str. X. i 447, złr. 2·50



Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.